

№ 9. Rok XVIII.

Dnia 14 (26) Lutego 1898 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Jezioro Świtez.

JEZIORO ŚWITEŻ I JEGO OKOLICE.

„Ktokolwiek będziesz w Nowogródzkiej stronie,
Do Płuzyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać tve konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świteż tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszcza oczerniona,
A gładka jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się doba
I zwrócisz ku wodom lice:
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżycze.

Niepewny, czyli szklanna z pod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklanne stropy
Aż do nog twoich ugina.

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga
Dna nie odróżnia od szczytu:
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiejś otchłani błękitu...”

Teimi strofami rozpoczyna Mickiewicz balladę pod tytułem: „Świteż,” w której oprócz obrazowego opisu wrażeń, jakie wywołuje na widzu to piękne jezioro, ozdoba jego stron rodzinnych, pomieścił także jedno z podań, krążących niegdyś o niem.

Jezioro to zachowało do dzisiaj swoją malowniczość; okrągłe, otoczone dokoła chociaż nie puszcza, ale dużym lasem, o wodzie niezmiernie czystej, odbija błękit niebios lub szarą powłokę chmur i posiada zawsze pewien urok tajemniczy. Nie jest też ono małe jak na tamte strony, gdzie jezior jest bardzo niewiele, liczy bowiem około 6 wiorst obwodu i prawie 300 morgów przestrzeni.

Świteż leży przy trakcie, idącym z Nowogródka do Stołowicz; traktem tym przejeżdżał nieraz Mickiewicz w latach dziecińczych z rodzinnego folwarku Zaosia do Nowogródka. Droga ocieniona wysokimi drzewami u góry, a gęstymi krzakami u dołu rozjaśnia się nagle; z poza drzew przeświecają jakieś srebrzyste plamy i oto stajemy przed wielką, rozsiadłą karczma, naprzeciwko której za grupą wyniosłych dębów i sosen, rozściela się jasna tafla jeziora.

Miejsce to jest przeszliczne i latem bywa nawiedzane przez liczne towarzystwa z sąsiednich i dalszych nawet dworów.

Powozami, bryczkami, a często drabiniastemi wozami przybywają tu zwolennicy widoków swojskich i przyjemnych wycieczek dla oddania hołdu pamięci wielkiego poety i spędzenia rozkosznego popołudnia i wieczoru pod cieniem dębów, nad otwartą powierzchnią jeziora, które przy najmniejszym wietrzyku faluje i uderza o brzegi z dziwnie miłym dla ucha szmerem, łączącym się z szumem drzew, okalających jezioro nieprzerwanym wieńcem.

Po spacerze pieszo lub łódką, zasiadają wszyscy na brzegu do przekąski, zapasy jednak należy brać z sobą, bo w karczmie prócz stołów i samowara nie wiele co dostać można.

A kiedy wstanie księżyc w noc pogodną, powierzchnia jeziora iskrzy się srebrnymi połyskami i świeci tak jasno, że nieraz konie boją się zbliżyć do wody, gdy się je prowadzi do pojenia.

Lecz i cała część powiatu Nowogródzkiego, w której leży Świteż, przedstawia się nader malowniczo i należy do piękniejszych stron kraju. Ziemia to żyzna, gliniasta, poprzerynana wzgórzami i dolinami, pokryta tu i owdzie zielonemi lasami i gaikami, ożywiona rozrzuconemi dość gęsto stosunkowo dworami, dworkami i wioskami. Niektóre większe dwory, jak Tuhanowicze, gdzie często spędzał wakacje Mickiewicz, Woroncza. Rajce, Sienieżyce, Czombrow, a dalej Boracin, Kamionka i wiele innych, posiadają piękne i nieraz rozległe ogrody spacerowe, pełne starych drzew, wawozów, stawów i strumieni. Ale nietylko duże dwory i mniejsze dworki, lecz i wioski w tej okolicy, przytulone zwykle do sklonu wzgórze, ocienione lipami, jarzębiną i drzewami owocowemi, wyglądają ładniej i schludniej niż w innych miejscowościach. Włościanki tamtejsze noszą malowniczy i wdzięczny ubiór, a lud na ogół zachował wiele dawnych obyczajów.

Kiedy się jedzie wijącą się w różne skrety drogą i z wyższego miejsca spojry na rozścielający się w okół rozległy szmat tej ziemi, natychmiast przychodzi na myśl śliczny, a tak obrazowy ustęp z pierwszej księgi „Pana Tadeusza.”

„Tymczasem przenoś moję duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą,
Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą...”

O trzy mile od Świtezi leży — Nowogródek, ongi miasto wojewódzkie, a w XIII wieku za czasów Mendoga stolica księstwa litewskiego. Na wysokim wzgórzu panuje nad całą okolicą i z każdej strony z daleka już jest widoczne. Liczy ono obecnie 12,000 mieszkańców i posiada rozległy, dobrze zabudowany rynek.

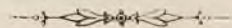
W mieście tem kończył Mickiewicz szkoły średnie, z których przeszedł do uniwersytetu wileńskiego, tam też był dom jego rodziców, gdzie większą część lat dziecińczych spędził.

Jako zabytek dawnych czasów, stoją jeszcze w Nowogródku na wysokiej górze, otoczonej fosą, dwie baszty po zamku Mendoga i książąt nowogródzkich. O nim to pisze Mickiewicz w „Grażynie.”

„Zamek na barkach nowogródzkiej góry
Od miesięcznego brał po złotę blasku;
Po wałach z darni i po sinym piasku
Olbrzymim słupem łamał się cień bury,
Spadając w fosę, gdzie wśród wiecznych cieśni,
Dyszała woda z pod zielonych pleśni.”

U stóp tej góry wznosi się kościół fara, nabożeństwa przecież odbywają się w kościele po-dominikańskim w środku miasta.

Na północ od Nowogródka ku Niemnowi, zaczynają się okolice bardziej lesiste i mniej już malownicze.



NIEDŹWIEDZ^{*)}

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

P. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Na ten rozkaz zabrano szamocącego się stróża, który wciąż wołał:

— Na zatracenie, na zatracenie idzie nasz Kazik, szkoda jego duszy, szkoda! czort tam czyha na niego!

A mówił to z głębi serca i z całym przeświadczeniem, bo od ubiegłej nocy nikt mu z głowy nie mógł wybić, że przybyli ludzie nie byli ludźmi. On wciąż w nich widział złe, które na zamek przez niego strzeżony i wszystkich jego mieszkańców spadło.

Kasztelan tymczasem wyszedłszy za bramę, rozpytywał Kazika, co to wszystko miało znaczyć, nie wiedział bowiem dotąd o całym zajściu i przestרחu, jakiego nabawiło niespodziewane przybycie posłańców od królowej i najniewinniejszej w świecie małpce, którą wzięto za wcielonego dyabła.

Tak rozmawiając zbliżali się do miasteczka, które odświętną jakąś przybrało postać. Przed karczmą bowiem, jako też i przed domami, gdzie mieli przebywać spodziewani goście, wbijano kolki i zatykano przy nich sosnowe i świerkowe gałęzie, ubrano niemi nawet drzwi, z przed których odmiatano śnieg i układano deski, ażeby ułatwić wejście. Na drodze też ustawiono obu rzędami beczki ze smołą, które miały zapłonąć wielkim ogniem dla dodania świetności i splendoru całej uroczystości i dla uczczenia przybywających gości.

Przygotowania te, a może i opowiadanie Kazika zadowolily snać kasztelana, bo wracając do zamku późnym już mrokiem, miał twarz rozradowaną. sypał krotochwilami i powtarzał:

— Tak, tak, kiedyć ludzie na dom mój łaskawi, trzeba im radość naszą z tej ich łaski okazać.

Gdy zaś na drugi dzień tłumy zaległy wszystkie komnaty, a przedstawienie urządzone przez pana Sulpicyusza, zadziwiło doskonałością pomysłu, jako też i świetnem wykonaniem nawet tych, co nietylko w Krakowie ale i na dworach zagranicznych bywali, pan kasztelan obdarował uszczęśliwionego kapelmistrza złotym pierścieniem z wielkim krwawnikiem.

IV.

Sejm w Piotrkowie zwołany na dzień świętego Andrzeja, to jest 29 listopada 1529 r., miał dużo pilnych i ważnych spraw do załatwienia. Przybył król Zygmunt Stary, przybyli kanclerz wielki koronny, Samuel Maciejowski, hetman Jan Tarnowski, którzy spraw narodu i państwa pilnie na owych obradach przestrzegali. Lecz przybył i Piotr Kmita, marszałek wielki koronny, który trzymając stronę królowej Bony, stawał często okoniem i najlepsze postanowienia głosem swoim rozpraszał.

Na ten raz jednak, w niektórych przynajmniej punktach szedł ręką w rękę z królem i sejmem. Punkta te bowiem przewrotnej i chciwej Bonie dogadzały, zgadzając się z jej planami na przyszłość. Wszelako niesnaski i częste rozdwojenie w narodzie martwiło sędziwego króla i nieraz myślał sobie:

— Jeżeli za mego życia każdy chce na swoją rękę rządy prowadzić, cóż zacz będzie, gdy oczy zamknę, a mój małoletni syn nie potrafi rządów w dłonie swe ogarnąć?

Kiedy więc Jan Tarnowski podał myśl, ażeby dziewięcioletniego Zygmunta stany koronne, jeszcze za życia panującego monarchy, obrały królem i tym sposobem zażegnały

wszelkie kłótnie i niesnaski po najdłuższem życiu panującego, król chętnie na to przystał.

Przystąpiła też i Bona, a Kmita jako jej stronnik, z całą gorliwością sprawę tę popierał. Po załatwieniu więc spraw innych, jednogłośnie uradzono dnia 18 grudnia 1529 r., że dziesięcioletni Zygmunt uznany królem, jeszcze za życia ojca koronowanym zostanie.

— Bene — rzekł król rozrzewniony — wskazujcież mu waszność panowie, jakie są potrzeby narodu i uczcie jako ma ten naród kochać i o szczęśliwość jego się troskać.

— Miłościwy monarcho, niech tylko w wasze ślady wstępuje! — odparł dwornie Jan Tarnowski.

— Wszak powiadają: niedaleko jabłko od jabłoni pada, a syn do ojca zwykle podobien, w tem też i nadzieja nasza — rzekł kanclerz Maciejowski.

Król z zadowoleniem skinął głową, a Kmita zaraz się odezwał:

— Trzebać do wezwanego z oznajmieniem wysłać...

— O tem już pomyślano — odparł kanclerz.

I zaraz wyznaczono posłów, na czele których stanęli: Andrzej Krzycki, biskup płocki, i Stanisław Karnkowski, biskup przemyski.

Król też ze swej strony wysłał zaraz do Krakowa, ażeby się podzielić tą wieścią z małżonką

Tymczasem Bona pozostawszy w stolicy, w niecierpliwem oczekiwaniu trawiła dni i godziny, zabawiając się układaniem coraz to nowych planów.

I teraz w zamyśleniu długo chodziła po komnacie, poczem uderzyła srebrnym młoteczkim w kowadełko. Zjawił się zaraz paż, będący na jej usługach.

— Prosić imci pana kasztelana gnieźnieńskiego, ochmistra naszego syna.

Paż skłonił sił się i wykręciwszy się zręcznie na pięcie, znikł za ciężką gorąco-żółtą zasłoną.

Po chwili wszedł znany nam już pan Opaliński, oddał należyty ukłon i czekał.

Byna tymczasem siadłszy na swem wysokiem krześle przed wielkim stołem, pilnie patrzyła w rozłożoną, nakreśloną gotyckimi literami księgę, udając, że nie widzi przybyłego. Wznosiła przytem do góry oczy, wzdychała, a chociaż nie mogła utrzymać rąk złożonych i co chwila niemi gestykulowała, idąc za biegiem swych myśli, starała się jednak dać poznać, że się gorliwie modli.

— Misericordia, Dio... — powtarzała półgłosem, a jej wielkie przysłonione długimi rzęsami oczy, rzucały niespokojne spojrzenie.

Po chwili milczenia, przerywanego szeptem, królowa, spojrziała, jakby dopiero co spostrzegła przybyłego; westchnąwszy więc raz jeszcze głęboko, położyła dłoń białą na ciemnych kartach księgi i rzekła:

— Postanowiliśmy, ażeby syn nasz wyjechał na czas jakiś do Wilna.

Opaliński skłonił się, nic nie mówiąc, i czekał dalszych rozkazów.

— Dwór niewielki, skromny, dziś zaraz wyjechać!

Pan Piotr skłonił się powtórnie!

Królowa spuściła oczy na rozwartą przed sobą księgę, raczej rękę na niej leżącą, poczęła podnosić palce w dziwny jakiś sposób, potem kreślić koła i zygzaki, szepcząc przytem jakieś wyrazy.

Opaliński patrzył z pod oka na ruchy jej ręki, a uśmiechnąwszy się nieznacznie, rzekł sobie w duszy:

— Stawia horoskopy, wróży z palców, a udaje, że się modli.

Po chwili podniosła rękę, dając znak, że posłuchanie skończone.

Ochmistrz oddał głęboki ukłon i cofając się, zniknął za ciężką zasłoną.

Lecz nie zdołał jeszcze progę przestąpić, gdy królowa klasnąwszy w dłonie, zawołała:

— Mości ochmistrze!

Opaliński wrócił w tej chwili.

— Nie wyjedziecie dziś, to dzień feralny, a według przepowiedni jednego z włoskich astrologów, dni feralne trwać będą aż do 26 decembra; wyjedziecie więc dopiero 27 wczesnym rankiem.

Ochmistrz skłonił się, a po jego pogodnym obliczu przebiegło znudzenie.

— Więcej też czasu będzie do przygotowań — mówiła Bona na poły do siebie, spoglądając jednak z pod oka na stojącego ochmistrza.

Opaliński przyjął tę wiadomość w milczeniu.

— Trzeba jednak zaraz sposobić się do drogi — rzekła królowa, wstając, jakby i ona w tych przygotowaniach brać miała udział.

Ochmistrz zaś biorąc to odezwanie się za koniec rozmowy, oddał znów ukłon i wyszedł spiesznie.

Bona tymczasem prędkimi krokami przebiegła kilka razy komnatę, zajrzała do rozłożonej na stole księgi, która, jak się okazało, wcale nie była modlitewnikiem, tylko kabałą, stuknęła kilka razy palcami o palce, wreszcie uderzyła gwałtownie młotkiem w kowadełko. Zjawił się tenże sam paż, co poprzednio, a królowa zawołała:



Ruiny zamku w Nowogródku.

— Siniora Alenini!

— Paż wyszedł, a siniora snać oczekująca przy drzwiach na rozkazy, wbiegła drobnymi kroczkami, zatrzymała się przy drzwiach, oddała ukłon niski i nader pokorny, spoglądając przytem naokół ruchliwemi, maleńkiemi oczkami. Znów postąpiła kilka kroków i ukłoniła się jeszcze niżej, i tak skłoniwszy się trzy razy według przyjętego zwyczaju dworskiego, czekała wyprostowana dalszych rozkazów.

Bona dała jej znak, ażeby się zbliżyła. Siniora ze zwinnością kotki stanęła tuż przy swej pani, mrugając oczkami, jak gdyby chciała przeniknąć najskrytsze jej myśli.

— Bliżej, bliżej! — rzekła po włosku Bona.

Dwórka ruchem pełnym uszanowania zbliżyła się, nachylając ucho dla wysłuchania rozkazu, mrugając ciągle oczkami.

Bona mówiła coś dosyć długo, a siniora kiwała głową potakująco, powtarzając:

— Si, si, bene, bene!

Poczem Bona wstała i poczęła chodzić, a siniora założywszy rękę na rękę, stała w milczeniu, oczekując dalszych rozkazów.

— Patrz baczenie, pilnuj wszystkiego, chcę wiedzieć jak się ochmistrz z najukochańszym naszym synem obchodzi,

staraj się przeszkodzić, gdy mu każą zbyt często zabawiać się ich ordynarnemi, grubemi sprawami, lub nakłaniać do spraw wojennych.

— Si, si — potakiwała siniora.

— Zapamiętaj każde słowo, wszystko, co mówić będzie ochmistrz, wszystko, rozumiesz! leżę na twoje do mnie przywiązanie — dodała.

— Oh, regina mia! — zawołała siniora, składając ręce jak do modlitwy i przewracając oczy.

— Pamiętaj! — odrzekła królowa i wyciągnąwszy rękę drzwi jej wskazała.

Siniora w ukłonach zbliżyła się do drzwi, a stanąwszy przyłożyła ręce do piersi, westchnęła głęboko, okazując tem swe przywiązanie i zniknęła za drzwiami, wiodącemi do komnat królewicza. Bona przeszła się znów po komnacie, wzięła z torebki wiszącej u pasa maleńkie, w kość słoniową, oprawne lustro, przejrzała się w niem z pewnem zadowoleniem i jakby zeń wyczytała jakieś nowe postanowienie, uderzyła znów młotkiem w kowadełko.

Czuwający wciąż paż za zasłoną zjawił się w tej chwili.

— Imci pan Piotr Opaliński! — rzuciła Bona.

— Niema go już w antikamerze — odrzekł paż z ukłonem.

— Nie pytam, gdzie jest! — zawołała z gniewem królowa. I wymierzyła policzek stojącemu pokornie chłopięciu.

Lecz ten wyuczony snać obyczaju, jaki panował na dworze Bony, czy też wiedziony własnym sprytem, uchwyciwszy się jedną ręką za obrażony policzek, drugą skłonił się do ziemi, ujmując kraj szaty rozgniewanej niewiasty, przytknął do niego usta i rzekł:

— Dziękuję najjaśniejszej pani!

Udobruchana snać tą pokorą królowa, nic już nie rzekła, jeno drzwi ręką wskazała. Paż zniknął, a wołany jeszcze kilkakrotnie stawał się z miną pogodną, o ile na to pozwalał nabrzęknięty nieco policzek.

Na każde zawołanie zjawiały się coraz to inne osoby z przybocznego dworu, a nawet i panowie radni. Bona dawała im polecenia, lub rozmawiała przyciszonym głosem, a zwykle po takiej rozmowie dodawała:

— Tacite! (Milczcie!).

I nie dziw, że królowa z takim podnieceniem wydawała rozkazy, wiedziała ona, że na sejmie w Piotrkowie mają obrać królem jej ukochanego jedynaka, wiedziała jednak, iż mogą być przeciwnicy, którzy urzeczywistnienia obioru zechcą nie dopuścić. Wprawdzie dała potrzebne ku temu instrukcje stronnikowi swemu Piotrowi Kmicie, nie była jednak pewna, co się tam stanie i dziwny niepokój ją ogarniał. Chciwa władzy niewiasta nie tyle pragnęła królowania dla syna, ile dla siebie.

— Małoletni, a więc do rządów nie zdatny, ja będę zań te rządy sprawować.

— A król stary?... — szeptał jej głos jakiś.

— No, ten myśli już jeno moją myślą — uspokajała głos tajemny. — A zresztą, bliższyć on lepszego świata! — dodawała.

I westchnąwszy pobożnie złożyła ręce, jak do modlitwy i wzniosła oczy ku niebu.

— Nie trzeba go jednak trzymać w stolicy, niech nie myśla, że mnie ten obiór cokolwiek obchodzi, dla tego Sigismondo pojedzie... tak, pojedzie... będzie go można zwrócić z drogi... Ach! tylko ten Opaliński... ale i na to poradziemy!... — uspokajała się, tonąc coraz więcej w swych myślach i kombinacjach, jakie wciąż tworzyła.

Nic więc dziwnego, że podróż na którą się cieszył ochmistrz i wychowaniec, wśród drogi przerwana została.

Kiedy bowiem tajemny posłaniec Kmity i jawny staro-
go króla, przybyli do stolicy z oznajmieniem radosnej wieści
i doniesieniem, że posłowie ofiarujący koronę wkrótce przy-
będą, Bona już miała gotowych gońców, których też nie-
zwłocznie pełnęła po syna.

— Och, mio caro, mój jedynak, mój król! — wołała,
ściskając syna, który jednocześnie z posłami sejmu, to jest
biskupem Krzyckim i Karnkowskim stanął 4 stycznia 1430 r.
w Krakowie. Zygmunt oddawał jej uściski z całą dziecięcą
serdecznością.

(d. c. n.)

Niezależnie od głębi, wzdłuż całego Atlantyku, ciągnie
się obszerne płaskowzgórze, przerywane ocean od północy ku
południowi, równoległe do brzegów Ameryki i Starego świa-
ta. Na tem płaskowzgórzu największe głębiny wynoszą tylko
po 2000 metrów.

Widzimy z powyższych liczb, że w morzach nie istnieją
przepaście mające po 20,000 metrów, jak dawniej marynarze
przypuszczali. Wszelkie dawne hipotezy i teoretyczne obli-
czenia mórz okazały się mylnymi, trzeba było bezpośrednio
wymierzyć ich głębokość, aby odkryć prawdę. Liczby poda-
ne przez *Challenger*a zasługują na zupełne zaufanie, ponieważ



Kościół farny
u stóp góry zamkowej
w Nowogródku.

W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Przeciętna głębokość oceanu Atlantyckiego wynosi
4800 metrów, lecz ołowianka napotkała także w nim olbrzy-
mią głębię, wynoszącą 7137 metrów! Gdyby do tej otchłani
wrzucić górę Montblanc, to olbrzym naszych gór schowałby
się w tej przepaści, a powierzchnia morza wznosiłaby się jesz-
cze na 2327 metrów ponad górą.

pomiary jego były brane za pomocą udoskonalonych przy-
rządów.

Challenger cztery razy przepłynął Atlantycką wodę, a sie-
ci przynosiły wciąż setki nieznanymi mieszkańców, ukrywają-
cych się w głębinach. Wydobyto z przepaści morskich roz-
maite dziwne raki; jedne nie miały oczu; drugie posiadały no-
gi tak cienkie i długie, iż raki te podobne były raczej do
olbrzymich pajaków, a długie nogi służyły im do macania
przedmiotów otaczających, których nie mogły widzieć, gdyż
były ślepe.

Istniało w owym czasie mniemanie, że zwierzęta żyjące
w głębiach morskich są zawsze ślepe. Na co im oczy w tych
otchłaniach, gdzie nigdy nie bywa ani promyka światła! Po-
dobne rozumowanie wydawało się dobrem. Jakież tedy było
ogólne zdziwienie, gdy z tychże przepaści, obok zwierząt śle-

nych wydobyto raki, mające oczy i to tak wielkie, że zajmowały im całą głowę. Zadawano sobie pytanie jakim sposobem oczy mogą służyć w ciemnościach morskich. Odpowiedź na to pytanie znajdziemy później, gdy podany będzie opis zwierząt głębinowych.

W niektórych miejscach sieć napotkała na dnie istne laski, złożone z koralu, a do ich gałęzi przyczepione były gąbki; owdzie przynosiła jeże i gwiazdy morskie, oraz wiele mułu, złożonego wyłącznie prawie z mikroskopijnych pierwotniaków.

17 grudnia 1873 roku *Challenger* opuścił zatokę przyłądka Dobrej Nadziei i rozpoczął żeglugę po południowym oceanie Lodowatym. Chociaż była to gorąca pora roku na południowej półkuli, jednakże wkrótce zobaczono śnieg, który okrywał stożki gór wulkanicznych, sterczących na rozsypanych wyspach. Dno tutejszych mórz dostarczyło ciekawych obserwacji; piękne lilie morskie tworzyły tu miejscami istne lasy, okrywające dno wulkaniczne.

11 lutego *Challenger* poraz pierwszy napotkał pływającą górę lodu (iceberg), którą dokładnie zmierzono i odfotografowano. Nazajutrz ukazały się pływające bryły lodu, które miały po 30 i 40 metrów wysokości. Temperatura spadła nagle do 1° stopnia; albatrosy poznikały, lecz napotymano jeszcze wieloryby. Wkrótce góry lodowe pojawiać się zaczęły ze wszystkich stron i żegluga stała się niebezpieczną dla okrętu, który nie był zbudowany do pływania wśród takich niebezpieczeństw.

Podróżników ogarnął niepokój. 16 lutego wśród nocy zerwała się burza, okręt pchany przez gwałtowny wicher uderzył o górę lodową i połamał części masztów. Schroniwszy pomiędzy dwie olbrzymie bryły lodu, które osłoniły go nieco przed burzą, *Challenger* przez kilka godzin popychany był kolejno to do jednej to do drugiej bryły. Wreszcie nastąpił poranek i dodał nieco otuchy przerażonym podróżnikom. Jednakże na drugi dzień *Challenger* odważnie puścił się w drogę wśród nagromadzonych brył lodowych, które ze wszech stron otaczają łódź koło bieguna południowego. Przed *Challengerem* jedynie pięć okrętów dotarło do tego miejsca, tak dalece niebezpieczną jest żegluga wśród tego chaosu pływających brył lodu, przez wiatr i prądy wodne popychanych na wszystkie strony.

Pomimo wszelkich usiłowań, podróżni nie mogli dojrzeć ziemi Willisa i zmuszeni byli zaniechać zamiaru puszczania się dalej na południe; zarzucili tedy kotwicę w porcie Melbourne.

Owa podróż do południowego bieguna chociaż trwała niedługo, jednakże niezwykle obfitą była w rozmaitego rodzaju obserwacje. Pływające bryły lodowe były starannie badane. Odkryto nadspodziewanie, że bryły lodu zawierają często mnóstwo, uwiecznionych drobniczych zwierzątek i roślinek (korzenionózki i okrzemki), które pływają zwykle po powierzchni morza. Góry lodowe, będące postrachem dla żeglarzy, jednocześnie majestatem i piękną swą wroczą ku sobie przykuwają. Ich przezroczyste szafirowe ciała tańczą po lazurowej powierzchni morza, niby jakieś widziadła, a fale z łoskotem rozbijają się o nie, jak o prawdziwe głązy i kruszą je w końcu na drobne kawałki. Podróżni na *Challengerze* nie mogli dosyć napatrzeć się owym wspaniałym widokom.

A tymczasem sieć spuszczone na dno oceanu, wciąż przynosiła mieszkańców, żyjących w jego głębinach; lecz były to zwierzęta podobne do tych, jakie łowiono już na północnej półkuli. W południowym oceanie Lodowatym nie znaleziono zatem odrębnej jakiegś fauny.

Po miesięcznym odpoczynku w Melbourne, *Challenger* znowu wypłynął na Ocean i zwrócił się w stronę wysp Fidżi i Filipińskich w celu badania raf koralowych, które otaczają owe wyspy. Lecz aby móż podziwiać niezwykle budowle koralu, trzeba udać się na sam środek oceanu Spokojnego, tam bowiem koralu wytworzyły mnóstwo wysp w postaci pierścieni, jak np. wyspy Karoliny.

Opuściwszy archipelag wysp Filipińskich *Challenger* skierował się ku wybrzeżom Japonii. Z mórz japońskich

pochodziły pierwsze przezroczyste gąbki, które wprawiły uczonych w zdumienie i podziw. Należało tedy zapoznać się bliżej z fauną tych mórz. Koło Japonii ołowianka napotkała olbrzymią głębię oceaniczną; trzeba było odwinąć 8189 metrów sznura, aby ciężar uwiązany na jego końcu mógł oprzeć się o dno morskie.

Wspaniała wyprawa *Challenger* miała się już ku końcowi, gdy śmierć zmniejszyła liczbę odważnych uczonych; młody i niezmordowany w pracy Willemoes Suhm zgasł nieomal nagle, a zgon jego okrył żałobą pozostałych towarzyszy.

Wkrótce *Challenger* przepłynął cieśninę Magellana i skierował się ku brzegom Anglii, po raz piąty przerzynając Atlantyk. *Challenger* zawinął do portu 26 maja 1876 roku. W czasie podróży, która trwała 42 miesiące, znakomity ten okręt przebiegł 32,000 mil, wykonał 492 sondowań i 234 razy spuścił sieć na dno. Wrócił ogromnie obciążony niezwykłym bogactwem. Teraz rozpoczęła się praca dla uczonych; trzeba było cały ten materiał rozpatrzeć, ukłasyfikować, zbadać i opisać. To też praca ta wymagała całego zastępu uczonych przez lat kilkanaście. Obecnie opis wyprawy *Challenger* wydano już w kilkunastu tomach, a jeszcze pozostało do ogłoszenia wiele rzeczy naukowych.

(d. c. n.)

NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

W godzinę później wyjeżdżaliśmy z zamku. Gdy mury jego miały nam za chwilę zniknąć z oczu, obejrzelśmy się raz jeszcze. Na tarasie stała pani Pfaltfy w żałobnej czarnej sukni, z twarzą białą jak marmur. Syn, unosząc czapkę w górę posłał jej ostatnie swe pożegnanie. Nie powitał już jej nigdy!...

— A cóż się stało z młodym Andrzejem? — zapytało na raz kilka dziewczynek.

— Zginął, moje dzieci, zginął w bitwie, kiedy Niemcy zasypali nas kartaczami. Padł obok mnie, gdyż nie rozstawaliśmy się ani na chwilę. Kula ugodziła go w samo serce. Co mi się działo, gdym unosił z pola walki martwe już ciało przyjaciela, na to słów nie mam. Złorzeczyłem tej kuli, że nie mnie raczej pozbawiła życia. Bo ja go kochałem, moje dzieci, bo go ogromnie kochałem! Nie miałem nikogo z mych bliższych, on stał mi się wszystkim na ziemi!

Teraz pozostało mi jedynie odwieść nieszczęśliwej matce zwłoki syna, aby je złożyła w rodzinnym grobie. Obowiązek ciężki i bolesny.

Ranny, z ręką na temblaku, wracałem tą samą drogą, którą niedawno pełni zapału przebywaliśmy we dwóch z Andrzejem.

Za przybyciem do zamku, znając dobrze jego położenie, kazałem orszakowi zatrzymać się zdala, choć noc była ciemna, sam zaś miałem zamiar udać się najpierw do starego sługi, aby tenże ostrożnie uprzedził swą panią o mojej obecności.

— Tymczasem za wejściem do sieni ujrzałem już samą. Stała na środku, trzymając w ręku świecę, migocącą niewyraźnym blaskiem pod silnym prądem powietrza.

— Gdzie Andrzej? — spytała, zwracając na mnie wzrok przenikliwy.

Mimo silnego wzruszenia nie zapominałem, że się znajduję wobec kobiety, którą jedno słowo moje zabić może, i znalazłem dość mocy nad sobą, aby odrzec spokojnie:

— Andrzej jest ranny, dla tego pierwszy przybyłem tutaj, aby uprzedzić panią.

Zbliżyła się do mnie, podniosła świecę wysoko nad moją głowę, i dziwnym wzrokiem spojrzała mi w oczy. Nie mogłem znieść blasku tego spojrzenia, ani widoku tej twarzy, z której zdawało się, że wszystko życie uciekło; spuściłem oczy.

— Dla czego nie mówisz prawdy? — przemówiła głosem, który mnie dreszczem przejął. — Dla czego nie mówisz mi, że Andrzej już nie żyje!

Oh, bo serca matek cudownie odgadują wszystko, co się ich dzieci dotyczy. I ona, matka Andrzeja, odrazu przeczuła straszny prawdę. Lecz mimo wielkiego bólu nie poddała się rozpacz, nie płakała nawet, a tylko blademi ustami wyszeptwała: Jedyny i ostatni!

Sama gorączkowo czynna, zajęła się przybraniem zwłok syna i złożeniem ich do rodzinnego grobu.

— Męskie to zaiste serce — myślałem pełen współczucia, patrząc na ten spokój pani Palfy, która ani jednej łzy nie uрониła nad swem nieszczęściem, nie wyrzekła nawet głośno imienia ukochanego syna. Tylko po spełnionych obrzędach pogrzebu, zamknęła się w swoim pokoju i przez kilka dni nie widziała się z nikim, a gdy nakoniec zeszła do sali zamkowej, była równie spokojną jak poprzednio, tylko twarz jej stała się jeszcze bledszą, a czarne oczy patrzyły jakby przez mgłę. Skinęła na mnie, kazała mi usiąść obok siebie i wyrzekła cicho: — Mów mi o nim, ale wszystko, wszystko!

Zacząłem jej opowiadać o Andrzeju najdrobniejsze szczegóły od chwili naszego wyjazdu z zamku. Słuchała i na nowo te same stawiała pytania; powtarzałem je wielokrotnie i znowu powtarzać musiałem.

Tak upłynęło znów kilka dni nad wyraz smutnych.

— Pójdź, pokażę ci pamiątki po nim — rzekła wreszcie raz do mnie.

Posłuszny, wszedłem za nią do komnaty, znajdującej się obok jej sypialnego pokoju.

Tu, w wielkiej rzeźbionej szafie znajdowały się zgromadzone ręką matki wszystkie pamiątki po Andrzeju, zacząwszy od zabawek jego dziecińczych i ubranek chłopięcych; nie brakło nawet munduru, który miał na sobie w ostatniej walce z widocznym śladem postrzału.

Spojrzałem na ten mundur i odwróciłem szybko głowę, czując, że łzy zalewały mi oczy. Tymczasem pani Palfy swemi delikatnymi, przezroczystymi prawie z wychudzenia rękoma, układała na stole pamiątki z lat dziecińczych swego syna.

— To jego pierwszy chłopięcy strój — szepnęła z rozczuleniem. — Jakże się cieszył, gdy go ubrałam jako chłopczyka — mówiła, wskazując na malutkie spodeńki i kurtkę aksamitną, zdobną w koronkową frezę.

Pochyliła głowę, jedną ręką podparła czoło, druga spadła jej bezwładnie na kolana.

— Zostaw mnie, chcę być samą... — szepnęła.

Wszedłem, lecz zatrzymałem się w przyległym pokoju, na przypadek, gdyby mnie zażądała. Upłynęła wszakże godzina jedna i druga, a pani Palfy nie wzywała nikogo, nawet żaden szmer nie dochodził z jej komnaty. Opanował mnie nagle dziwny jakiś niepokój. Zapukałem lekko do drzwi, a nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, pobiegłem po służbę, aby zobaczono co się z panią dzieje. Zaledwie jednak zauważana stara szafarka przystąpiła do niej, krzyknęła z przerażeniem:

— Boże mój! widno coś złego stało się naszej pani!

W mgnieniu oka stanąłem przy nieszczęśliwej matce. Siedziała tak samo jak przed paru godzinami, z czołem opartem na dłoni, w rękę trzymała malutkie ubranie swego syna. Błada na twarzy i spokojna, lecz już bez życia...

— Co się jej stało? Jakto, umarła? — wykrzyknęły dziewczynki.

— Oddawna podobno cierpiała na wadę serca, które pękło teraz od tłumionej boleści — rzekł dziadunio drżącym głosem i unikł na chwilę, widocznie, by zapanować nad silnym wzruszeniem. — Niechże mi jednak kto wytłumaczy — mówił dalej — dla czego wytrzymała wobec martwych zwłok

syna z raną od kuli w piersi, dla czego nie skonała składając do grobu zimne jego szczątki, a zabiły ją owe przypomnienia lat jego dziecińczych... Oj! matki, matki! Miłość wasza dla dzieci, posiada głębie niezbadane.

Tu dziadunio oparł głowę na rękę i zamyślił się wzruszony. Łzy rozrzewnienia błyszczały w oczach dziewczynek.

— Ale proszę pana — odezwała się wreszcie Joasia — dla czego pan walczył z Węgrami przeciw Niemcom, cóż sprawa węgierska mogła obchodzić pana?

— Widzi panienka, za czasów mojej młodości wierzyliśmy gorąco w wspólną miłość i braterstwo i gotowiśmy byli oddać własne szczęście za szczęście innych.

— Ale niechże nam też dziadunio opowie, swą wędrówkę do Paryża, po skończonej wojnie węgierskiej, mój drogi dziadunio.

Lecz staruszek potrząsnął głową:

— Później, później, moje dziecko, na dzisiaj dosyć już tych wspomnień.

Wtem na ganek wbiegł zadyszany Romcio, machając rączkami, wołał:

— Chodźcie, chodźcie pędko! Aż dwa wozy dzieci przyjechało z Walszawy!..

— Już wiem — rzekła Zosia — są to dzieci z kolonii letnich. Pani Bielicka sprowadziła je tu na swój koszt, a tatuś ofiarował czworaki na ich pomieszczenie.

— Chodźmy tam, chodźmy — zawołała ruchliwa Staśka. Wszystkie panienki podniosły się żywo, Joasia tylko pozostała sama jeszcze czas jakiś na werandzie, poczem udała się do ogrodu, pragnąc ciszy i samotności, bo dziwne myśli, dziwne, nieznanne jej dotąd uczucia nią owładnęły. „Wierzyliśmy w miłość i braterstwo wzajemne i gotowiśmy byli oddać własne szczęście za szczęście innych”, mówił dziadunio. Więc to naprawdę można coś tak bardzo ukochać, więc jest na świecie coś, co może nam być droższe nad osobiste szczęście, myślała, chodząc po cienistych alejach. I nagle uczuła jakąś dziwną próżnię w sercu i zarazem upokorzenie. Wszakże ona dotychczas siebie jedynie kochała, obce jej były bóle i cierpienia drugich!

VII.

Gromadka dzieci z Romusiem na czele bawiła się na skraju lasu, kiedy różowy balonik, który mama przywiozła dla malutkiej Jani, wyrwał się z jej rąk i uleciał w górę.

— Mój balonik! Ach, mój balonik! — zawołała z płaczem dziewczynka! a wszystkie dzieci podniosły główki do góry i z niepokojem śledziły, jak wiatr unosił różową, błyszczącą w słońcu kulę baloniku.

— Uleci, ani wątpić. Szkoda! taki był ładny!

— Patrzcie, patrzcie, idzie coraz wyżej! — wołały jedno przez drugie.

— Nie idzie wyżej! Co się stało? — zapytał nagle Romuś.

I rzeczywiście, balonik zawisł nieruchomo. Długa nitka przywiązana do niego, zaczęła się o wierzchołek drzewa.

— Cicho, cicho — uspokajał Romuś płaczącą Janię — twój balonik nie ucieknie, zdejmujemy go z drzewa.

Łatwiej jednak powiedzieć niż wykonać; jak się tu dostać na sam jego wierzchołek? Probuje to uczynić Romcio, próbują inni chłopcy. Gdzie tam! ani rusz, zaledwie który zdoła wznieść się pół łokcia nad ziemię, zaraz spada napowrót, nie mogąc nawet dobrze pnia objąć, zbyt małymi ramiionami.

— Nie poradzimy temu sami! — wyznał nakoniec jeden z nich. — Trzeba zawołać którego z dużych chłopców, albo poprosić dorosłego człowieka, aby wszedł i ściągnął balonik.

W tej myśli dzieci pobiegły całą gromadką, zabierając też z sobą małą Janię. Może w dziesięć minut potem wróciły uradowane, prowadząc wybawcę. Lecz o dziwo, balonik zniknął bez śladu. Gdzie się mógł podziać? Najpewniej wiatr zerwał sznureczek i uniósł dalej lekką gumową kulę.

Gdy tak wszyscy wyteżonym wzrokiem patrzyli ku górze, nikt nie zauważył, że pod lasem przesunęła się chyłkiem jakaś mała, przygarbiona do ziemi postać.

— Ha, trudno, stało się! Balonik przepadł i dosyć!

Zawiedzione dzieci wróciły do kreślenia kół i linii na piasku, bawiąc się w zdobywanie fortecy. Tylko mała Jania siedziała na murawie, niepokieszona po swej stracie. W pół godziny później panna Berta zabrała je wszystkie na podwieczorek.

Starsze panienki, jak zwykle o tej porze, zgromadziły się na ganku u państwa Skalskich. Młodzież uknuła dnia tego wielki zamach na dziadunia, pragnąc wyprosić, aby im opowiedział znów jaki epizod ze swojej tułaczki po świecie; czekali więc wszyscy niecierpliwie przybycia starca. Tymczasem od strony Polanki zbliżyła się jakaś dziewczynka, bosa, lecz czysto ubrana i stanęła nieopodal, z oczami spuszczone. Widocznie przynosiła coś w fartuszku, którego rogi trzymała delikatnie w palcach, a cała jej postać wyrażała wielkie zakłopotanie. Dziewczynki poznały ją od razu, bo już poznały się ze wszystkimi dziećmi przybyłymi z Warszawy.

— A co powiesz, Basiu? — zapytała Zosia.

— Ja przyszedłam do panny Ludwini — rzekła mała nieśmiało, i z płonąca twarzą pocałowała Jadwinę w rękę, a uchylwszy róg fartuszka wyjęła... balonik Jani.

— Bo to, proszę panienki — rzekła też zaraz — ja przynioszę tu kulę, co się nią dzieci bawiły pod lasem.

— Skądże ty masz ten balonik? — spytała Ludwinia.

Basia spuściła głowę, zaczęła kręcić róg fartuszka, potem rzekła spiesźnie:

(d. c. n.)

Z DALSZEGO ŚWIATA.

Zaćmienie słońca. — Śnieg czerwony. — Wykopaliska babilońskie. — Pies podróżujący.

Dnia 22 stycznia r. b. przypadło zaćmienie słońca, które w Indyach było całkowitem, a u nas tylko cząstkowem. Uczeni astronomowie obserwowali to zjawisko w różnych miejscowościach; w Dumram (Indye) przy całkowitem zaćmieniu otrzymano siedm dobrych obrazków korony słonecznej, w Warszawie widziano tylko zaraz po wschodzie kontur ciemnego brzegu księżycy na dolnej części tarczy słonecznej.

Mieszkańcy Grand-Combia, góry, wnoszącej się na północ doliny Aosta, oglądali niedawno zjawisko niezwykle Spadł tam mianowicie śnieg czerwony. W dawnych czasach zjawiska podobne, których przyczyn nieznano, przerażały ludność. Dziś wiadomo, że są to grzybki mikroskopijne, unoszące się miejscami w powietrzu i spadające razem ze śniegiem na ziemię.

W ruinach starego babilońskiego miasta Siparol, dziś zwanego Abu-Abba, na południu od Bagdadu położonego, wydobyto w ostatnich czasach doskonale zachowaną tablicę glinianą, której napis stanowi kompletny list, pochodzący z epoki panowania Sansu-Hunh, który, wedle księgi Genesis, był współczesnym Abrahamowi. List tedy pisany był na 2,500 lat przed erą obecną, a autorką jego jest, o ile się zdaje, młoda kobieta, przebywająca zdala od ojcowskiego domu. Charakterystyczne pismo listu w zupełności zostało odcyfrowane, a treść jego ma być, wedle gazety hiszpańskiej, która wiadomość tę podaje, następująca: „Do mojego ojca w Zimri Crama. Oby ci bogowie Sama i Mardak na zawsze zachowali życie! Oby ci się zawsze dobrze powodziło! Posyłam ci ten list, aby ci dać wiadomość o sobie. Bądź tak dobrym donieść mi, jak ci się powodzi. Jestem teraz w Dar-Sin, nad brzegami cieśniny Bitini Sikirio. Mało tu jest środków żywności, którebym mogła jeść. Załączam pieniądze; dwie trzecie srebrnika zachowaj dla siebie; za resztę kup mi suszonych ryb i innych rzeczy do jedzenia.”

W starożytnej Pryenie, mieście zachowanym jak Pompeja, odnaleziono jakoby cały gród starożytnej Grecji z ulicami, przecinanymi pod kątem prostym, z placami i gmachami publicznymi, sklepami i prywatnymi domami.

Podróż, której opis podajemy może wzbudzić zazdrość w ludziach, odbywających podróże naokoło świata w warunkach najdziwaczniejszych, którym się dobrowolnie poddają. Oto pies odbył tę podróż sam, z Tacoma do Tacoma (w stanie Washington), przez ocean Spokojny, Indyjski i Atlantyk. Chociaż nie miał grosza przy sobie, jak wielu podróżnych, wcale nie potrzebował trudzić się pieszo; owszem, mógł używać wszelkich sposobów przenoszenia się z miejsca na miejsce. Owney — tak się pies nazywa — jest szkockim „terrier.” Podróżuje już od lat 12 w wagonach pocztowych na całej przestrzeni Ameryki, i nosi przy swojej obroży 190 medaliów miedzianych, na pamiątkę miast, które „zwiedził.” Przed 2½ laty Owney wyjechał z Tacoma, mając na szyi tabliczkę z następującym napisem. „Do wszystkich, którzy tego psa spotkają: Nazywa się Owney. Jest ulubieńcem 100,000 urzędników państwowych Stanów Zjednoczonych amerykańskich. Wyjeżdża dziś, 18 sierpnia, w podróż naokoło świata. Proszę być dla niego dobrym i wysłać go, tak na lądzie, jak na morzu, w kierunku Yokohama, Hong-Kong, New-York”...

Owney wykonał swój program, przejechał ocean Spokojny, w Yokohamie wslawił się w walce z psami japońskimi, które pokonał. Podróż jego skończyła się wjazdem tryumfalnym w New-Yorku. Wrócił do Ameryki na statku „Port Philip”, na którym uprzemie zapłacił za swoje utrzymanie, łowiąc więcej niż 200 szczurów, co, połączone z jego osobistymi przysługami, sprawiło, że załoga i oficerowie bardzo go żalowali, jak statek opuszczał.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRĘŚĆ: Jezioro Świtez i jego okolice (z ryc.) — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską. — Na polance, powieść przez E. Jerlicza. — Z dalszego świata. Dodatek: U ciotki Polci (z ryc.) — Drapieżnik wodny przez Maryę Weryho. — Konik polny, wiersz. — Gołębek Bożenny. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

U cioci Polci.

— Czy będziemy dzisiaj, ciociu droga, robili nowe zabawki z papieru — pytała Zosia, dnia jednego, gdy wieczorem zapalano już lampy w pokoju. To mię tak bawiło wtenczas, jak nas cioteczka tyle ślicznych nauczyła rzeczy.

— Ja też nie zapomniałem wcale, jak się robi łódka, i gdy moja mi się zepsuła, zaraz sobie drugą umiałem zrobić — odezwał się Henryś.



— A jakie to jeszcze rzeczy z papieru być mogą? — dopytywał Kazio.

— Na dzisiaj jeszcze zostawimy te zabawki, gdyż mi chwilowo papieru zabrakło, zanim go więc z miasta przyślą, musicie cierpliwie poczekać.

— Jaka szkoda, jaka szkoda — zawołały dzieci, że ciocia nie ma dzisiaj papieru!

— Postaramy się zabawić czem innym — rzekła z uśmiechem dobra ciocia Polcia, a wyszedłszy do swego pokoju powróciła niebawem z dużym kawałem tektury, i postawiła ją na stole tuż przy lampie.

— Co to będzie ciociu, co to takiego? — pytała Zosia.

— Ach, jakie śliczne złote kółko! — zawołała tymczasem Irenka, wskazując na ścianę. Niech mi ciocia da to kółko! — prosiła.

— Prawda, jakie kółko jasne — potwierdził Henryś. Ale z kądże ono się tam naraz wzięło?..

— Ja już wiem skąd! Oto w tekturze, którą ciocia przyniosła, wycięty jest taki sam otwór, więc światło przechodząc tamtędy, zarysowuje to jasne kółko na ścianie. To mówiąc Kazio zbliżył rękę do miejsca, które tak wszystkich zaciekało.

— Patrzcie, patrzcie, na kółku zrobiła się czarna plama — zawołała Irenka.

— To cień ręki Kazia — tłumaczyła Zosia. Czemu jednak ciociu, ten cień jest tak czarny.

— Czemu?... Może ci to braciszek wytłumaczy, równie dobrze jak zrozmiał od razu, z kąd się jasne wzięło kółko.

— Ja wiem tylko, że cień powstaje wtenczas, gdy przez coś nieprzezroczystego, tak jak moja ręka, albo ta tektura, światło przejść nie może.

— Bardzo dobrze, w ten właśnie sposób tworzy się każdy cień, który tym jest ciemniejszy, im mniej przezroczysty jest przedmiot, albo im silniej oświetlone miejsce, na które taki cień pada. Że więc kółko to jest bardzo jasne w porównaniu z całą tą ścianą, więc też cień wydaje się tu prawie czarnym?

To mówiąc ciocia Polcia złożyła jakoś ręce i na jasnym kółku zarysowała się wyraźnie głowa zwierzęcia.

— Kriks, Kriks! Buldog wujaszka! — Wołały dzieci uradowane, klaszcząc w ręce.

— Jak to ciocia zrobiła, moja ciociu, proszę mi pokazać! Czy to bardzo trudne? — pytał Kazio.

— Wcale nie trudne, przypatrz się tylko, a potrafiś niewątpliwie wywołać cień podobny.

— A jaki on zły, jakby chciał kąsać, śmiał się Henryś.

— Bo buldogi w ogóle, jak wiesz, łagodnymi nie są, więc i mój na cieniu musi mieć ich wyraz. Ale zdaje



mi się Kaziu, że źle układasz ręce. Patrz, prawa znajdować się powinna na spodzie; przykurez trochę jej palce — tylko duży opuść tak, aby tworzył niby dolną, rozwartą szczęką głowy zwierzęcia. Teraz lewą przyłóż na wierzch opierając ją na palcach; zostaw jeszcze u dłoni małeńki otwór, który jaśnieć będzie w miejscu oka, duży zaś palec wychyl nieco, to będzie ucho!

Wszystkie dzieci wraz z Kaziem składały ręce jak ciocia zalecała. Nie szło to z początku łatwo i cień zrazu nie przypominał wcale głowy buldoga. Dużo też było z tego powodu śmiechu i wesołości w małej gromadce.

— Teraz ja! Teraz mój buldog! — wołały dzieci ci-
snąć się do świetlanego kółka, aż Kazio usunął się trochę
na bok i choć tam cień jego ręki zaledwie szarawą odzna-
czał się plamą, widział jednak dosyć, by ułożyć wreszcie
swe ręce tak zupełnie, jak było potrzeba.

Powoli też i drugim dzieciom udawała się ta sztucz-
ka, a nawet mała Irenka, nie okazała się mniej zręczną
od innych.

— Irenki buldog to jeszcze taki młody niewyrośnię-
ty piesek, pewnie jest synkiem tego dużego, którego nam
ciocia Polcia pokazała — żartował Kazio.

— Patrzenie, patrzenie już znowu inny obrazek ciocia
zrobiła — zawołał Henryś.

— Ach jaki ładny koziołek z bródką — mówił Ka-
zio, przypatrując się naprzemian jak wygląda cień, a jak
trzeba złożyć ręce.

Koziołek ciocie tymczasem potrzasał brodą i zdawał
się beczec; gdy zaś ten zginął, niedługo jeden koziołek po
drugim mniej lub więcej udany, występował w świetla-
nym kółku.

(d. c. n.)

Drapieżnik wodny.

Okrutne spustoszenia wyrządzał szczupak w stawie.
Karpie zjadał na śniadanie, karasie na obiad, liny na
kolację. A co płotek połknął na przekąskę! któżby poli-
czył!... Od jak dawna przebywał w stawie, nikt nie wie-
dział.

Najstarsze ryby, skoro sięgają pamięcią, zawsze sły-
szały o szczupaku drapieżniku!

— On chyba wiecznie żyć będzie — myślały ryby: —
z każdym rokiem ma się lepiej, coraz większy, coraz
grubszy. Silniejszego nad samego siebie niema nikogo
w stawie, a i w sieć nie da się złapać.

Razu jednego, w śliczny poranek, szczupak dumnie
płynął przez staw.

Wtem spostrzeżę płotkę, która uczepiła się do gli-
zdy i zajada. Szczupak długo nie myśląc — cap! rzuca
się na biedną rybkę i duże swe zęby głęboko w ciało
płotki zanurza.

A w tejże chwili coś szarpnęło obie ryby do góry.

To rybak wyciąga wędkę z wody i cieszy się, że
złapał płotkę i szczupaka!

Wrócił uradowany do domu, bo nie zawsze miał po-
łów tak szczęśliwy a w stawie, pomiędzy rybami radość
była niemała, że nareszcie zginął ich wróg zacięty.

Maryja Weryho.

Konik polny.

I.

Szczęśliwy, swobodny,
Wciąż wesół, niegłodny
Skakałem, tańczyłem,
By dziecię,
W majowej zieleni,
Nad brzegiem strumieni,
Niepomny, jak bywa na świecie.
A kwiatów kielichy,
Drżąc słały szept cichy
Ku łanom, co słonko złościło;
Z nich słodki miód piłem,
Nie żyłem lecz śniłem,
Tak błogo mi było,
Tak miło.

Aż dzisiaj, gdy rankiem,
Otoczon barw wiankiem
Pragnąłem poskakać dowoli,
Wiatr zawył szalony
Jam czuł, że zgubiony,
Że w sercu mię strasznie
Coś boli

Zagnany w kąć ciemny
Jam czuł, że daremny
Wysilek, by walczyć
Z naturą.

Ach! jesień to była,
Ta pora niemiła,
Co zmusza wciąż walczyć
Z wichurą.

Już tańczyć nie w mocy,
Przybiegłem po nocy,
By prosić cię, pszczołko
Schronienia.

Nie odmów, królowo,
Odżyję na nowo,
Pracować już będę
Bez technienia.

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg)

— Tak, ale w zamian za tę ofiarę cóż ja ci dać mo-
gę? Czemże złożę ci dostateczny dowód mego przywią-
zania — rzekła Ludmiła ze łzami w oczach. Po chwili
jednak namysłu zawołała z nowem ozywieniem: Próżno
szukałabym rzeczy nadzwyczajnych, postaram się więc
o krzak róży, aże tak piękny, jakiego niema w całym wa-
szym ogrodzie. Sama go tu zasadzę, a ile razy pokryje
się kwieciami, wonne jego listki mówić ci będą o mojem
dla ciebie uczuciu!

Obie dziewczynki pod wpływem serdecznego wzruszenia ucałowały się czule, i trzymając za ręce, wróciły do domu zając się wspólnie przygotowaniem do jutrzejszego wyjazdu.

Pierwsze chwile powrotu do Kalinówki były dla pani Zalitowskiej i jej córki bardzo przykre. Na każdym kroku obie odczuwały boleśnie swe osierocenie. Teraz nowe, trudne życie zaczęło się dla nich, teraz musiały wystarczyć sobie i wzajemną nieść pomoc w pracy, wzajemną dawać sobie opiekę.

Lecz jak przystało mężniej niewieście, pani Zalitowska nie upadła na duchu. Do nowych obowiązków zabrała się z taką gorliwością, tak wytrwale znosiła wszelkie trudy i mozoły, jakie wymaga gospodarstwo rolne, tak starała się pojąć co, jak, i kiedy czynić wypadało, że nawet służba za jej przykładem tem gorliwiej spełniała każdą powierzoną sobie pracę.

Nie małą też pomoc znalazła w Stefanie, który wrócił z nią do Kalinówki, a przywiązaniem swem i usłużnością starał się na każdym kroku okazać swą wdzięczność i ulżyć w położeniu, którego mimowolną był przyczyną.

Ludmiła choć jeszcze dziecko dwunastoletnie, pojęła też od razu, że nie pora już dla niej na próżne rozrywki, i cały zarząd domowego gospodarstwa wzięła na siebie. Krzątając się pilnie od wczesnego ranka do wieczora, doglądała mleczywa, drobiu i trzody, przysposabiała wedle wskazówek matki zapasy na zimę, składając do piwnic warzywa, susząc owoce i dozorując wraz ze starą Grzesiową, wdową po dawnym karbowym, robót około lnu, którego przedziwem umiała się już potrochu zająć.

Najprzyjemniejsze jednak chwile z dnia całego, były długie wieczory jesienne, gdy wszystka czeladź zbierała się w dużej izbie folwarcznej, kobiety i dziewczęta przy kołowrotkach, a Stefan czytał Żywyoty Świętych Pańskich, lub wszyscy razem śpiewali pieśni nabożne.

Czasem i Ludka zaglądała do książki, bo choć w owe czasy mało jeszcze kto po wsiach szczególniej umiał czytać i pisać, ona pragnęła naśladować we wszystkim swą matką, która nauczyła się tej sztuki w klasztorze, gdzie się wychowała pod opieką swej ciotki zakonnicy.

Razu pewnego, późnym już wieczorem, gdy psy podwórzowe w około dworku mocno ujadać poczęły, wyszedł Stefan na ganek przekonać się, coby tego było przyczyną i powrócił niebawem w towarzystwie dwóch pielgrzymów, którzy stanawszy skromnie na progu powitali gospodynię domu chrześcijańskim pozdrowieniem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, amen! — odpowiedziała pani Zalitowska, zwróciwszy badawcze spojrzenia na przybyłych.

Byli to ludzie dobrego wzrostu, choć starszy zdawał się już mocno przygarbiony wiekiem. Twarze ich ogorzałe, i wierzchnie odzienie mocno przyniszczone świadczyły o długim pobycie na świeżem powietrzu, gdzie nierzadko deszcz zmoczy i słońce przypiecze.

Długie po pas brody, wielkie kapelusze na głowach i kije sękaty w rękach nadawały im pozór właściwy

pielgrzymom; tylko niekiedy czarne ich oczy błysnęły ponurym blaskiem.

— Zkądże to Bóg prowadzi o tak późnej porze? — zapytała z pewnem niepokojem pani domu.

— Z dalekich idziemy stron, dobrodziejko — odparł starszy. — Pielgrzymami jesteśmy, wracamy z Ziemi Świętej.

— Jakto! Więc waszmoście byli u Grobu Chrystusa? A toż szczęśliwi z was ludzie! Ale i strudzeni niepomier- nie być musicie! Siadajcie więc proszę tu bliżej koło komina, odpocznijcie i ogrzejcie się, zanim wam ciepłą sporządzić każę strawę — mówiła pani Zalitowska, dla której sama wiadomość o odbytej przez przybyłych pobożnej pielgrzymce, rozproszyła wszelki niepokój i dostateczną była pobudką do wyjątkowego dla nich poszanowania i gościnnego przyjęcia.

— Niech Bóg zapłaci za dobre serce! — rzekli, i złożyli sakwy i sękaty kije na uboczu, w kącie.

— Toć prawdę powiedziawszy spoczynku łakniemy, zaczął starszy siadając ciężko na ławie, przy czem rozejrzał się znów bacznie po izbie — a na dworze szaruga, wiatr do szpiku kości przejmuję. Lata też ciężą na barkach; więc jeśli łaska chciałem prosić o nocleg pod gościnną strzechą dobrodziejki. Jutro skoro świt trzeba nam w dalszą drogę.

— A dokądże Bóg prowadzi?

— Chcielibyśmy jutro przed nocą zdążyć do Ostrobrzegu, gdzie powiedzieli nam dobrzy ludzie, iż uroczysty odbędzie się odpust. Potem wracamy już na Mazowsze, skąd ród nasz wywodzi.

— Zapózniliście się trochę, dobry ojcze, do Ostrobrzegu kawał drogi, dziesięć mil liczą — wątpię byście zdążyli, jak zamierzacie.

— Nie znam-ci ja kraju tutejszego, idę tylko gdzie mi uczynni ludzie wskażą, mówiono mi jednak, że szmat drogi trzymając się gościńca, można sobie skrócić, kierując się przez bagna — byle ino nie zbłądzić.

— Otóż trzęsawiska to są wielkie, jeźdźcy na koniach i wozy tam toną, bezpieczna droga nie jest to wcale!

— Ja mógłbym przeprowadzić nabożnych pielgrzymów, jeżeli pani pozwoli — odezwał się nieśmiało Stefan.

— Lękam się, czy znasz bezpieczne przejście, mój chłopcze.

— O, co do tego niech pani będzie spokojną, nie zbłądzą pewno, toż chodziłem już tamtędy dwa razy.

— Wdzięczni ci z serca będziemy mój synu — rzekł jeden z przybyłych, podczas gdy drugi rozwiązał sakwy i wyjmując z nich medaliki, różańce i krzyżyki odezwał się poważnym głosem:

— Oto z miejsca naszej pielgrzymki święte pamiątki, które przynieśliśmy z sobą ku radości i pocieszeniu dusz wiernych; proszę z nich przyjąć kilka.

Wszyscy obecni z głębokim wzruszeniem odbierali nabożne upominki, a gdy następnie podróżni posilili się gorącą polewką, którą im Ludmiła zgotowała i znowu zasiedli w około kominka, pani Zalitowska wypytywała o szczegóły dalekiej podróży.

— Napatrzyliśmy się na różne kraje i różne poznaliśmy ludy — rzekł starszy — przebywaliśmy rzeki, góry i morza, a dzikie to jeszcze strony; drapieżnego zwierza

nie brak po kniejach i złego człeka nie rzadko też spotkać, zwłaszcza dla chrześcijanina, dla którego zaciętemi wrogami są Arabowie i Turcy, będący teraz panami Palestyny. Nie oddają ani należnej czci Chrystusowi jako wynawcy nauki Mahometa, a jak tylko mogą, przeszkadzają nabożnym pielgrzymom, często ograbiają ich i pokrzywdzą, nie rzadko nawet zamordują.

— Słyszałam ja o tem — rzekła pani domu z westchnieniem — ale też mówił mi świątobliwy nasz proboszcz, że tym większą zasługę mamy u Boga, im więcej cierpimy dla Imienia Chrystusa.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Czemże ja nie jestem w świecie,
Ani może o tem wiecie?
Mówią dzieje o człowieku
Z zaprzeszłego jeszcze wieku.
Tańcem skocznym także bywam
A i śpiewkę też nazywam —
Wreszcie w lasach ja też żyję,
Istność moję chętnie kryję,
Bo z przymiotów dobrzem znany,
I przez ludzi spożywany.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTALOWA.

przez Puszczyka z Pilawy dla Laszki.

1. Spółgłoska.
2. Zwierzę z rządu przeżuujących.
3. Półwysep między morzem Żółtym i Japońskim.
4. Kamień używany na pieczęcie.
5. Miasto nad Elbą.
6. Przymiot niezbędny w życiu.
7.
8. Miasto w Serbii.
9. Drobne owoce.
10. Mały oddział konnicy.
11. Sztuczna osłona twarzy.
12. Dopływ Wołgi.
13. Samogłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery ułożonych wyrazów, złożony powinny imię i nazwisko współczesnego, lecz nie żyjącego już polskiego poety.

ŁAMIGŁÓWKA SAMOGŁOSKOWA.

ułożył Wróblek.

a a
 . a . a
 a . a . a
 a a a a
 a . a . a
 . a . a
 a . a
 . a .

Zapełnić kropki literami, aby otrzymać wyrazy: 1) Ptak. 2) Miasto w Europie. 3) Roślina meksykańska. 4) Międzymorze w Ameryce. 5) Góra w Azji. 6) Statek wodny. 7) Drogi kamień. 8) Przysłówek.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 7.

Zagadki: Z e r o .

Rebusiku:

Jest to cnota nad cnotami
Trzymać język za zębami.

Skrzynka do listów.

P. F. I. Rękopis odesłaliśmy pod wskazanym adresem „post-restante.”

Aleksandrowi W. Nie dokuczyłeś nam bynajmniej swojemi listami, przeciwne są nam one bardzo miłe, przebija w nich myśl poczciwa i rozsądek, oraz chęć listownego chociażby zbliżenia się do kraju. To też nadal nietylko zachęcamy, ale prosimy byś pisywał tak często o ile czas pozwoli. Wspólna wymiana myśli zbliży nas do siebie i zaprzyjaźni. Cieszy nas to, że dużo czytujesz po polsku, jest to najlepszy sposób zachowania czystości języka, nie mogąc się nim stale posługiwać w życiu codziennem. Zadania przejrzymy, a jeżeli się tylko okażą odpowiedniami, postaramy się je pomieścić jak można najprędzej.

Mery L. w Zośnicach, witamy jako nową korespondentkę i mamy nadzieję, że częściej obdarzać nas będzie tak miłemi listkami jak ten pierwszy. Radzi jesteśmy, że lubisz czytywać Wieczory, że się uczysz chętnie, bo nauka rozwija umysł, a czytanie stanowi miłą i pożyteczną rozrywkę. Godzimy się z tobą, że historia to najciekawszy przedmiot wśród nauk, ale i o innych zapominać się nie godzi, bo każdy jest nam pożyteczny; nawet oschła arytmetyka z długim szeregiem cyfr i trudnemi zadaniami, bardzo ciekawą być może, gdy się do niej trochę przyłożysz.

P. Ludwice Z. za przysłany wierszyk i uprzejmy list bardzo dziękujemy.

Pani S. B w Orenburgu. W taniem wydawnictwie jubileuszowym dzieł Sienkiewicza, wyszła trylogja powieści historycznych: „Ogniem i Mieczem” „Potop” i „Pan Wołodyjowski,” tomów 6, w oprawie kosztuje rs. 3 przesyłka rs. 1.

H. Łubień.. bardzo dawno nie odzywał się do nas, prosimy o poprawę i dłuższy listek.

Wajdelocie zaginiony numer wysyłamy. Z przyjemnością dowiedzieliśmy się, że Wieczory czytujesz z zajęciem; ciekawe podróże i na ten rok mamy przygotowane. Jeżeli masz ochotę przyslij nam jedną ze swoich powiastek, chętnie ją przeczytamy i osądzimy twoje zdolności.

Dobre rozwiązania zadań przysłali: **Gabryel G., Eugenia M., Czarnuszka i Bilasek, Z. O. z B. C., i Słoń z Nubii.**

Promyczkowi z Białej Rusi za serdeczne wyrazy dziękuję, ale zmartwiła mnie wiadomość o twojej chorobie; pocieszam się jednak, że nie było to nic ważnego, i, że przyszedłszy już zupełnie do zdrowia kochany Promyżek częściej odtąd odzywać się będzie.

Łamigłówni **Słonia z Nubii** złożyłam w redakcyi, dlaczego jednak zapowiadasz dłuższe milczenia? Wierzę bardzo, że przy naukach nie staje często czasu na układanie szarad i łamigłówek, ale napisanie listu zajmie tylko krótką chwilę, którą zawsze znalazłeś można przy dobrych chęciach, tymczasem przyjazne pozdrowienia przesyła ci

Jaskółka